

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Ucieczka.

Legenda ludowa.

Przed siepaczami króla Heroda
Ucieka w Egipt Święta Rodzina,
Świutki Józef tuż przy Maryi,
Która na ręką Jezusa trzyma.

Lulajże, lulaj, Jezu mój drogi,
Niech Cię nie straszy droga tak wielka,
Uśnij spokojnie, — ja Cię otulę:
Przemawia słodko Boża Rodzicielka.

A stare drzewa chylą gałązki
I łzami rosy płaczą litośnie,
Wietrzyk ruszając ich listeczkami
Współczucia głosem jęczy żałośnie.

Cheąc spocząć chwilę, Święta Panienka,
Staje z Jezusem w osiki cieniu,
Lecz zła drzewina nie chce ich przyjąć,
Drży cała w trwodze i przerażeniu.

Więc w dalszą drogę idzie Marya,
Gdzieindziej prosić musi gościny,
Już tak zmęczona, że ledwo żywa,
Pod krzak się matej kryje leszczyny.

Oa Ją w swoje tuli ramiona,
Gęstym płaszczykiem listeczków skrywa.
Przed żołnierzami króla Heroda
Nie drży ze strachu, — cała szczęśliwa

Daremnie zgraja szuka po lesie
Daremnie Święte Dzieciątko goni:

Cisza dokoła; tylko zdrajczyni
Kukułka kuka — w Jezusa stronę.

Za to złe serce Bóg ją ukarał:
Gniazda kukułka nie śmie zbudować,
Po obcych gniazdach tulać się musi
I w nich swe młode życie i chować.

Osika odtąd ciągle drży cała,
Że trwożna Boga przyjąć nie chciała;
Na niej to Judasz życia dokonał,
Niecnego zdrajcę dźwigać musiała.

Błogosławiona zaś jest leszczyna
Za to, że Boga skryła na ziemi:
Ze wszystkich drzewek Maryi najmiłsza,
Dzieci obdarza orzeszki swemi.

Wilhelmina P.

Dzieje Narodu Polskiego

OKRES IV.

(Ciąg dalszy.)

Kardynał Hozynsz.

Kto wie czyby dziś Polska była katolicką,
gdyby nie Hozynsz, biskup warmiński, a później
kardynał. Był to mąż pełen nauki i świętobliwości
życia, a nadewszystko pełen gorliwości o zachowanie
wiary katolickiej. On to uratował mianowicie
diecezję warmińską od złutrzeń, a piśmami,
czynami i wymową krzepił dzielnie katolicyzm
w Polsce. Takiej zaś zażywał mąż ten

powagi i znaczenia, że na soborze trydenckim, który się r. 1563 ukończył, był prezydującym, t. j. zastępował samego papieża. Odtąd jakich zacnych mężów posiadała wówczas Polska, że zdolni byli przewodniczyć takiemu wielkiemu i świętemu zebrań, jakim był sobór trydencki.

Gorliwym był Hozyusz Polakiem, i ztąd był nieprzyjacielem protestantyzmu czyli nauki Lutra i dla tej przyczyny, że się przez to niemczyzna szerzyła. Luter, który nową religią wymyślił, był Niemcem, a przez to i niemczyzna w ślad za jego nauką dążyła. Prawie też wszyscy Niemcy, w Polsce zamieszkali, naukę Lutra przyjęli, a mianowicie (bywatele Gdańska i Torunia).

Pod koniec życia zamieszkał Hozyusz w Rzymie. Tęskniąc za lubą ojczyzną, kazał sobie śpiewać pieśni polskie pobożne, a mianowicie „Boga Rodzicę”. Tam też w Rzymie dokonał świątobliwego żywota.

Sprowadził Hozyusz Jezuitów do Polski r. 1567, osadziwszy ich najprzód w Braunsbergu w Warmii, gdzie dotąd istnieje szkoła dla poświęcających się zawodowi duchownemu pod nazwą: „Lycium Hosianum” t. j. szkoła Hozyuszowa. Jezuitów wielkie położyli zasługi co do utwierdzenia wiary katolickiej w Polsce.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Miłość synowska.

Działo się to za czasów Zygmunta III. Horda tatarska pustosząc piękne ziemie Podola ogniem i mieczem, rozlała się na Pokucie i wtargnęła nawet na ziemię Halicką. Tysiącami gnano lud wiejski w niewolę, rabowano kościoły i dwory szlacheckie puszczano z dymem.

W jednym z takich dworów mieszkał pan Krzysztof Strząbski, podsedek ziemi Halickiej wraz z matką, świątobliwą osobą, do której syn tak wielkie czuł przywiązanie, iż postanowił nie wchodzić w stan małżeński, aby nowej pani w dom nie wprowadzać i nie dzielić tej wielkiej miłości, jaką dla dawczyni życia chował w swem sercu. Skoro tylko gruchnęła wieść, o wpadnięciu Tatarów, zwożaniem zostało pospolite ruszenie do którego się pan Krzysztof z pocztą swoim przyłączył.

Kiedy koło Lwowa zbierały się wojska Rzeczypospolitej, tymczasem dwory szlacheckie w ziemiach podolskich wystawione były na pierwszy ogień. Panu Krzysztofowi zaś było opuszczać jedyną matkę; ale tem się pocieszał, że horda nie pomknie się w głąb kraju. Na nieszczęście hor-

dy nie znachodząc oporu, wpadły w ziemię Halicką i w liczbie innych dworów dwór pana Strząbskiego padł łupem rabunku i pożogi.

Nakoniec nadciągnęło pospolite ruszenie; podsedek przybywa do swojej wsi, widzi na miejscu dawnych budynków dworskich tylko kupę zgłiszczy i popiołów, a gdy pyta o najmiłszą matkę, dowiaduje się, że ją Tatarzy w jasyr czyli niewolę zabrali!

Na taką wiadomość ledwie nie pękło serce synowskie. Jakżeby rad był mieć skrzydła i skrzydeł dodać swoim żołnierzom, aby piorunem puścić się za hordą, uchodzącą do Krymu z łupami bractwami. Dermo! Tatarów nie było, wyprawa się skończyła, i pospolite ruszenie rozeszło się. Coż pozostało Krzysztofowi? oto szukać innych sposobów. Najprzód tedy przez listy się dowiedział, że matka jego jest branką samego chana krymskiego i że chan władząc, jako jest z majątnego domu, żąda znacznego okupu.

Lubo pan Krzysztof, obywatel rządny i gospodarny, miał piękne zasoby i obszerne włości, jednakże po spustoszeniu tatarskiem majątek jego znacznie ucierpiał; co było gotowego grosza rozeszło się na potrzeby wojny i na poddańskich, a pożyczyć nikt nie chciał, bo wszystka niemal szlachta okoliczna poniosła klęskę.

Ubiegło więc blisko parę lat, zanim pocziwy syn zdołał zgromadzić sumę kilku tysięcy ówczesnych złotych na okup matki. Wybrał się więc w znacznym orszaku ludzi zbrojnych i konnych, (dla ostrożności w przebywaniu stepów napelnionych rozbójniczymi hordami) i wziął z sobą wygodną kolebkę czyli powóz, w którym matkę miał przywieźć. Tak przysposobiwszy się do onej drogi na Krym, wyruszył i szczęśliwie przybył do Bakiy-Seraju, stolicy chanańskiej. Przyprowadzony przed chana oświadczył, iż przywozi okup i zaklina go, aby mu co najprędzej pozwolił widzieć najdroższą matkę. Chan z politowania i czcią spojrział na dobrego syna i dał rozkaz.

Gdy tedy pana Krzysztofa zaprowadzono do domu, gdzie się mieściło wielu bractw chrześcijańskich, owi bractwa spostrzegłszy go, ze łzami radości go witali, zapytując, czy nie przybywa z okupem dla wszystkich.

— Przychodzę tylko po matkę moją, panią Strząbską — odpowiedział.

Co gdy bractwa usłyszeli, z żalosnym krzykiem czwali się:

— Panie synu, czemuż tak późno? wasza matka degorywa!

Pan Krzysztof uderzony temi słowy, ledwo że nie padł na miejscu; ale refleksując się i nie dowierzając tak srogiemu nieszczęściu, rozepchał tłum i wpadł do izby, gdzie w kącie ujrzał nędzne posłanie i wynędaną i schorowaną niewiastę na

niem, i jakiegoś starca klęczącego obok, który na kolanach odmawiał modlitwy.

— Matko moja! — zawołał, padając przed nią na kolana.

— Synu! — cichym głosem wyrzekła staruszka — przyjmij to ostatnie macierzyńskie błogosławieństwo!

Co powiedziawszy wysłała rękę położyła na głowie syna i ducha oddała.

Biedny pan Krzysztof gorzko zapłakał nad martwym ciałem, ale zarazem uczynił ślub, że zwłoki jej sprowadzi do ojczyzny i w świętej ziemi pochowa. Udał się więc do chana o pozwolenie przewiezienia ciała. Chan zezwolił, wzięwszy okup za żywą. Pan Krzysztof wiedząc, że Turecy i Tatarowie znają się na ziołach i umieją ciała balsamować, zawiązał lekarzy, którzy nabalsamowali wonnościami ciało nieboszczki, żeby zepsuciu nie podpadło w tak długiej podróży i porze gorącej. Gdy już wszystko było gotowe, kazał urządzić karawan, przykryć go kirem, trumnę nań włożyć i tak w orszaku sług dworskich, ubranych w czerni, przy śpiewie pobożnych pieśni kościelnych ciągnął przez kraje tatarskie.

O dziwny i niesłychany był to widok dla pogańskiego narodu! Wszędzie, gdzie przejeżdżane wybiegali tłumami Tatarzy ze wsi i miasteczek, nie w zamiarze, aby chrześcianom co złego wyrządzić, lecz aby podziwiać tak wielką miłość synowską.

Starzy Tatarowie nawet prowadząc dzieci swe, wskazywali im pana Krzysztofa, jako człeka świętego, powiadając:

— Patrzcie! oto syn, co swoją matkę kochał! za trupa jej takie same dał pieniądze chanowi, jakby za żywą, i teraz prowadzi ją o kilkaset mil, by na własnej ziemi pochować!

Otóż kiedy pan Krzysztof przebył tatarskie stepy, a wjechał w granice Polski, zaraz w pierwszym kościółku, jaki natrafił, odbył nabożeństwo za nieboszczką i dopiero szczęśliwie dowiódł do wsi swojej dziedzicznej, gdzie ją z wielką czcią pochował.

Ojcowska sukmana.

I.

Głos dzwonów.

Na wysokiej dzwonnicy rozmawiały dzwony. Dwa najmłodsze były w złym humorze. — Czy nie czas pójść spać? mówiły, już blisko północ, a dzwonią już dwa razy, poruszając nami o

zmroku, jak gdyby to był dzień jasny i dzwonili na mszę niedzielną! Ludzie chodzą po kościele? Czy nie mogą nas zostawić w spokoju.

Najstarszy dzwon wydał ostry, jak gdyby gniewny dźwięk i głosem głębokim rzekł:

— Cicho, małe, nie mówcie niedorzeczności. Gdyście były poświęcone przez biskupa, przysięgaliście spełniać swój obowiązek. Czy nie wiecie, że pierwsza godzina Bożego Narodzenia nadchodzi, i wy musicie odzwonić tę największą uroczystość świata.

— Kiedy tak zimno — odparł jeden z dzwonów.

Stary zaś na to odpowiedział surowym głosem:

— A czy myślicie, że Boskiemu Dzieciątku nie było zimno, gdy przyszło na świat? Czy nie byłoby cierpiało w stajence Betleemskiej, gdyby nie osieł i wół, którzy ogrzewali Je ciepłym oddechem. Zamiast jęczeć i narzekać, dobądźcie słodkiego głosu, na pamiątkę pieśni, którą Je Matka usypiała. Gotujcie się. Widząc, że zapalają świeczniki, ksiądz proboszcz włożył haftowaną albę, słysząc nawet odgłosy zbliżających się kroków, to wieśniacy spieszą na modlitwę, wagi zegaru opadają z szelestem i godzina dwunasta wybija. Boże Narodzenie. Dzwonmy więc wszyscy razem, aby nikt nie mógł powiedzieć, żeśmy go nie wezwały na pasterkę.

II.

Pasterka.

Przez trzy dni śnieg padał bezustannie, niebo było chmurne, ziemia biała, północy wiatr wyl, prześlizgując się między drzewami, stawy zamarzły, a małe ptaszki umierały z głodu i zimna.

Kobiety i mężczyźni w odświętnych, ciepłych kożuchach wolno wchodzili do kościoła.

Przy wejściu do kościoła, gdzie stoi woda święcona, klęczał chłopczyk w łapciach, w lekkiej świtce tylko pomimo zimna. Z czapką w dłoni i rękami złożonemi modlił się, mówiąc: „Za duszę mojego ojca, którego już nie mam, za zdrowie mej chorej matki i za mnie, za twego małego Janka, który ciebie bardzo kocha, o mój Boże! błagam Cię!“ Łzy spływały mu po twarzy i zdawał się cały zatopiony w modlitwie. Przez całą mszę pozostał na kolanach i wstał dopiero, usłyszawszy ostatnie słowa księdza.

Parafianie zebrali się jeszcze w przedsionku kościelnym, zapalili latarki, kobiety pozapinały kożuchy, mężczyźni podnieśli kołnierze. Brr, co za mróz! Czy idziesz z nami? — zapytał się jeden z chłopców Janka.

— Nie mam czasu — odparł i poczał biedz szybko. Z daleka słyszał jeszcze, jak wieśniacy, idąc do domu, śpiewali ulubioną kolendę.

„W żłobie leży,
Któż pobieży
Kolendować małemu?
Jezusowi Chrystusowi,
Dziś nam narodzonemu“.

III.

Lzy Magdaleny.

Janek dobiegł do swej chatki, na samym końcu wioski. Z cicha otworzył drzwi i na palcach wszedł do izby, w której nie było ani światła, ani ogniska.

— Czy to ty mój synku?

— Tak mamó!

— Modliłam się wraz z tobą, choć nie mogłam pójść do kościoła. A teraz połóż się, dziecko moje i śpij. Nie troszcz się o mnie, mnie nie potrzebuję, jeśli pić zachce, to napiję się wody, która obok mnie stoi.

W rogu pokoju, obok łóżka Małgorzaty rzucił się Janek na siennik i nakrywając się strzępkami starej kołdry, zasnął z ręką pod głową.

Ale Małgorzata nie spała, płakała z cicha, aby nie zbudzić dziecka, załamywała dłonie w rozpacz i mówiła do siebie:

— Co się z nami stanie? Zarabiam nie mogę, dwa lata jak podatki nie opłacone, chleba niema i nie chcą nam już dać na kredyt. Janek ma dopiero dwanaście lat i nie mógłby zapracować na dwie osoby. Co się z nami stanie? Ach! żeby mąż mój żył! Gdy nas opuścił, zabrał z sobą i cały dobytek.

I wtedy ze łzami spływającymi po żółkłej, wynędzniałej twarzy, wspominała przeszłe szczęście i łkała rozpaczliwie.

Mąż jej, pracowitością i uczciwością zdobył sobie uznanie i szacunek u wszystkich, prócz u szynkarzy, u których nigdy nie bywał. Choć biedni, ale uczciwi, pracowici i kochający się wzajemnie, byli szczęśliwi. Szczęście to trwało jedenaście lat, ale potem smutek zagościł pod ich dachem. Jakób zarabiał na życie jako woźnica, i pewnej nocy jadąc zwolna z pełnym wozem, będąc zmęczony całodzienną pracą, zasnął.

Konie potknęły się, on spadł z woza pod koła. Znalaziono go w parę godzin później na drodze, leżącego na wznak, z rękami złożonymi na krzyż w zakrwawionej sukmanie już nieżyjącego.

Janek miał wtedy zaledwie lat dziesięć i nie bardzo rozumiał ogromu nieszczęścia, które na nich spadło, ale płakał, gdy widział rozpacz matki.

Od dnia, gdy zwłoki Jakóba przyniesiono do chaty, nie zaznano tam szczęścia, nastąpiło to gorsze niż ubóstwo, bo nędza. Dla tego to Małgorzata płakała całą noc Wigilią.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dobry syn.

Bajka z przed lat tysiąca.
Napisał Władysław Belza.

(Ciąg dalszy.)

Wtem nagle, w podobny a niewytłomaczony sposób, jak to już raz miało miejsce na początku podróży Jankowej, zjawia się znowu u jej kresu tenże sam znachor, który wyprawił Janka po „wodę życia“ dla chorej matki — i kładąc mu rękę na ramieniu — rzecze:

— Nie rozpaczaj Janku, — bo rozpacz i zwątpienie, to dwaj najgorsi doradcy człowieka. Sledziłem, acz niewidzialny od ciebie, twoje kroki, siedłem wciąż obok ciebie i z umysłu nastęczałem ci liczne przeszkody i pokusy. Nie życzyłem sobie twego upadku, lecz chciałem wypróbować moc twego synowskiego przywiązania. Bądź błogosławiony dobry synu, coś dla biednej i chorej matki wyrzekł się uciech królewskiego dworu; coś nie utnął się dzielnego Wolfa i samo słońce do łitości pobudził. Bądź błogosławiony, bo nie skusiła cię piękność Łowiduszki, ani skarby królestwa karłów: niechże zasługa nie zostanie bez zapłaty, — bądź wynagrodzony!

Mówiąc to cudowny starzec nderzył laską w kryształową skałę i źródło na nowo bić zaczęło.

Janek rzucił się zaczerpnąć wody, wkrótce miał ją po brzegi, lecz kiedy odwrócił się, aby podziękować starcowi, znachora już przy nim nie było.

Janek uszczęśliwiony z posiadania cudownego leku, spieszenie gotował się do powrotu. Aliści, zaledwie znalazł się u stóp góry, zastanowił go szczególny ruch pomiędzy kamieniami i gwar jakby tysiąca ludzi:

— Janku! Janku! nie opuszczaj nas!

Janek przystanął — patrzył i nasłuchiwał, a kiedy znowu iść zaczął, głos tajemniczy z pośród kamieni, jęczał powtórnie:

— Janku! Janku! odzyw nas!

(Ciąg dalszy nastąpi..)